

— Żeby tylko zapisała Rysi książki...
Ola aż wyprostowała się i biała zupełnie przeszła do swego pokoju.
Coś strasznego, jakby dwoje kruków zakrakało dokoła niej już dziś dwukrotnie.
I tam nie pójdzie.
Więc gdzie?
Nie wie. Ale febrycznie wiąże woalkę dokoła wielkiego aksamitnego kapelusza.
— Pójdę kupić sługom łakoci. Może choć im tem przyjemność sprawię.

III.

Wyszła na Rynek.
Doznała olśnienia i zarazem ściśnięcia chorobliwego serca. Jakby rok cały wszystko zasnęło i zbudziło się nagle w ten dzień wigilijny. Te stragany barwne, wiewające purpurą, fioletem pasów — zielenią liści, świeżą barwą bibulanych róż. Tem sam las choinek, jakby karli bór na tle Sukiennic.
Ścieżki pomiędzy drzewkami wydeptane, a po nich snują się ciemno odziane postacie. Hejnał przeleciał ptakiem srebrnym. Skonał w oddali.
— Szopczka krakowska!... — woła jakiś dzieciak na rogu trotuaru.
— Nawet kupowałam szopki! — myśli Ola. Jestem taka sama dziś, taka sama...

Skreśliła szybko w boczną wrzaskliwą ulicę. Wpadła z tłumem do znanej owocarni. W ciemnicy wirowały całe grupy ludzi zziębniętych koło stągwi ledwo dyszących ryb. Inni pochylali się nad jabłkami, zdejmowali sami z półek pudła fig, kasztanów osmażanych, daktyli. Jakiś pan w kacie przy stosie paczek, do których zlanym potem subjekt dorzucał coraz nowe torebki — zajął się pocięciem bułki. Na ziemi, z pudełek, z których wysypywały się barwne pocięte bibułki, pochylone kobiety dostatnio ubrane, wybierały na tacki tekturowe cacka choinkowe, strojne i kosztowne. Gwar, krzyk, dostatek, wesołość i podniecenie przedświąteczne aż wybuchły kłębami nazewnątr.

Ola z trudem przecisnęła się do lady. Lecz właściciel sklepu powitał ją skwapliwie. Była stałą i dobrą klientką. Natychmiast kazał jej usłużyć. Jakaś panienska we włóczkowych mitynkach zaczęła wybierać i odkładać to, co Ola kazała. W pierwszej chwili oszołomiona gwaru nie mogła przyjść do siebie. Wreszcie przytomniała i gdy dziewczyna zawijała paczki i ona na chwilę uczuła się rada, że bierze jakiś udział w tej ogólnej radości.

Nagle z pod jej boku dał się słyszeć głos nieśmiały:

— Proszę za dziesięć centów cukierków na choinkę, dwa jabłka, jakie dwa pierniki i ze cztery świeczki!

Głos był cichy, stłumiony. Oddech nawet ciężki i chrapliwy. Ot, jak mówią ci, którzy pracują dużo i dawno.

Ola odwróciła się i stało się tak, że spojrzała niemal w oczy mówiacemu człowiekowi.

Oczy te były jakby szklane — martwe. Cała twarz chuda, zarost niepewnej barwy. Lata nieokreślone i duma w tych oczach, w tej twarzy jakby cofnięta, ukryta. Dalej postać zgarbiona, owinięta w zniszczone palto.

— Proszę za dziesięć centów cukierków, dwa jabłka...

Lecz nikt go nie słucha. Żądają kilami, kopami. Kto ma czas zajmować się tym cichym człowiekiem i jego nieśmiałym żądaniem? Wyciąga wciąż rękę z kilkoma centami i jeszcze coś cicho powtarza. Wreszcie milnie i tylko smutnymi oczami wodzi za krzątającą się gwardyą subjektów.

W sercu Oli nagle budzi się cały obraz. Ten nędzny dom biednego człowieka! Zbudował go, zlepił sam. I tam są jakieś małe, także biedniczne istoty. Dla nich to



odłożył te parę centów, za które ma być — dwa jabłka, cztery świeczki...

— Tak mało im może przynieść, a pewnie z duszy chciałby jaknajwięcej.

I szybko jak błyskawica porywa Ola z portmonetki pięcioreńskowy papierek i kładzie go na kontuarze, a chwytając rękę nieśmiałego człowieka, przyciska ją na pieniądzech.

— Dla dzieci... na cukierki!

Zanim on zrozumieć zdołał — wybiegła ze sklepu, rzuciwszy na progu cichy rozkaz, aby jej do mieszkania odesłano zakupy.

Biegnie pod domami lękając się, aby obdarzony przez nią człowiek nie pobiegł, nie chciał dziękować.

— Ach nie! za co!... za co! — myśli wzruszona dziwnie i miło.

Wybiegła znów na Rynek. Tak, myśli — ile dziś dzieci z zajęciem czeka choinki. To banalne co postanowiłam, ale w tem będzie jakieś źródło ukojenia. Rzuca się pomiędzy drzewka i kupuje kilka. Daje adres; potem wpada pomiędzy stragany, gdzie drgają świeże barwy, mienią się złoczone orzechy, wiewają tęcze papierowych łańcuszków.

Kupuje, kupuje febrycznie — stosy rycerzy w pancerzach na polukrowanych koniach, fantastyczne anioły z trąbami, krakowianki w gorsetach ze złoczonego maczku, rogi obfitości pełne róż, zaprzężone w gołębie, budki, w których na poduszkach siedzą cukrowe pudle, siatki z gazy pełne ryb — słowem cały wysiłek imaginacji bardzo prostej a przecież skomplikowanej. Ola sypie do toreb poszytych z gazet, które podają jej przekupki. I pierników całe stosy — okrągłych brukowców, przekładanych, krajanych w kształt dziwnych niemowląt o twarzyczkach z papieru. Dwóch posłańców przyjmuje ciągle paki, chodząc w ślad za Olą, która teraz robi cały zapas świeczek kolorowych, przejrzystych o ślicznych wesołych barwach.

— Jeszcze lichtarzyki... — myśli cała pochłonięta myślą owych drzewek — tak lichtarzyki. Tylko kupię wbijane ze sztytem, nie takie z agraftką jak przeszłego roku. Niechciały się trzymać. Mąż ciągle poprawiał...

Coś przewiało przed jej oczami nagle jakby mgła.

Mąż.

Poruszyła niecierpliwie głową. Śmieszne. Zapomniała dawno. I on zapewne także. Zresztą...

Biegnie do domu. Jakby ją coś gnało. Lecz ból ma jakiś w sercu. I zdaje się jej, że biegnie upić się czemś bardzo silnem i bardzo gorzkim. Gdy weszła do salonu, owiała ją rozkoszna woń przyniesionych już choinek. I jakby skurcz porwał ją za gardło. Ale dożyła całej siły pod wzrokiem zdziwionej pokojówki.

— Wielmożna pani będzie też i tego roku ubierać drzewko?

Ola zdejmując szybko kapelusz i myśli, że ta dziewczyna odczuwała także, iż Ola w ubiegłym roku ubierała drzewko nie dla siebie. Teraz jest pustka w tych pokojach — pustka koło niej — więc po co? Lecz już Ola zaczyna pakiety otwierać...

— Tu muszą być w domu w suterynach biedne dzieci — mówi gorączkowo — ubiorę kilka choinek, zaniesiesz im na gwiazdkę...

Dziewczyna lekko ramionami wzrusza.

— Pewnie że są, a gdzieżby tego nie było. — Dwie rodziny takie pełne dzieci, a tu naprzeciwnie też jest szewc strasznie biedny...

— Doskonale... ja ubiorę, ty im zaniesiesz.

Dziewczyna głową kręci i patrzy na Olę z pod oka.

— Tyle pieniędzy wydać na obcych dzieciaków! — myśli — ona nie musi mieć dobrze w głowie.

Tego nie może zrozumieć, że Ola chce się... upić.

Upić dobrymi uczynkami.

Bo i to jest pijaństwo. W swoim rodzaju.

Ciemno już i ruch na ulicy ustaje coraz więcej. Jakby tam coś wygasało, coś kryło się do swych jam, do swych nor. Gdzie ciepło, dobrze, swojsko...

W salonie Oli stoją trzy strojne choinki. Jak bukiety zasiane barwami cacek i osnute złotem i srebrem włosów anielskich.

Ona sama zaróżowiona, zmęczona, powstaje wreszcie z kłeczek i dzwoni na sługi.

— Zanieście to do suteryny — postawcie pod trzewiami, zapalcie kilka świeczek — zapukajcie i... natychmiast uciekajcie!

Sługi biorą każda jedno drzewko i idą chichocząc się.

Ola mieszka na parterze. Do schodów, prowadzących do suteryny, bardzo blisko. Nikogo nie ma w sieni. Sługi idą wolno a cacka na choinkach dzwonią leciuchno. Po drzewkach pozostaje czarna woń leśna. Ola stoi w sieni i nadśledzuje. Potem zbliża się do otworu schodów, pochyla się. Sługi rozeszły się na dwie strony kurytarza. Stawiają drzewka.

Słychać w ciemności szum gałęzi. Oli bije serce. Doznaje dziwnie miłego uczucia. Teraz słyszy trzask zapalek. I oto zaświeciły się świeczki. Małe tajemnicze światełka. Tu i ówdzie błyszczą jakas kulka szklana, jakaś gwiazdka ognista.

Teraz sługi pukają leciuchno.

I uciekają.

Ola cofa się.

Lecz za chwilę słychać łoskot otwieranych drzwi i nagły krzyk.

Krzyk dzieci...

Ola biegnie do mieszkania i zamyka się w pokoju.

Służąca pyta przez drzwi:

— Zanieść to trzecie drzewko do szewca?

— Tak! tak!...

I Ola ukryła twarz w dłonie.

Och! jak ją serce bardzo boli.

IV.

— Wielmożna pani którą suknię włoży?

— Ja?...

— No tak. Na wigilię do znajomych.

— A!... nie wiem. Szarą...

Pokojówka zapala świece przy lustrze — przygotowuje ubranie, buciki, płaszcz. Krząta się żwawo. Znać, że chce wyprawić panią z domu, aby iść samej do rodziny. Ola czuje, że musi być konsekwentną, że raz powiedziawszy, iż idzie do znajomych, iść musi gdziekolwiek — byle wyjść z domu. Siada przed lustrem i czesze się, pudruje, wreszcie ubiera strojnie jak manekin. Patrzy się na pobladałą swą twarz, na oczy, które zdają się jej być cofnięte w głąb.

— Jaka smutna ta — tam... — myśli.

W lustrze odbija się poza nią twarz sługi, odzianej odświeżnie w jakąś jasną bluzkę, z kokar-

